ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 2 grudnia 1934 r. | Nr. 50

L. Całkosińska

Opactwo Evolayne

Czemu lekturze niektórych powieści towarzyszy wspomnienie innych, i zgoła odmiennych? Dlaczego tam, gdzie żadnych analogij, ani w intrydze, ani w charakterach, czy metodzie, nie można się dopatrzeć, odzywa się echo tej niepodobnej? Jedna chyba atmosfera, jakiś wspólny klimat, lub jednaki stopień natężenia zdolne są usprawiedliwić to wrażenie. I tak choćbym nie wiem jak sumiennie szukała podobieństw między „Cecile de la folie", i „L'abbaye d'Evolayne"*) nie mogę ich znaleść: a przecież cień Cecylji zawisł nad tą poważną książką.

Ci, którzy czytali „Cecile de la folie". nie mogą zapomnieć postaci Cecylji. Właściwie jest ich wiele, cała galerja Cecylij, takich jakie ukazywały się oczom młodego człowieka: Cécile un peu folle, młoda najada, przebiegająca tanecznym krokiem pola i lasy; artystka, wydzierająca klawiaturze burze melodyj; Cécile poświecająca się i zaniedbana; Cécile niezręczna— zasłaniające nieustannie tę, najistotniejszą: Cécile au coeur fidele... Ileż w tej postaci prostoty i patosu! I teraz już wiem, właśnie ten patos łączy w mej wyobraźni Cecylję i Adelajdę z „Opactwa". Mówiąc: patos, narażam się na nieporozumienie. Nie lubimy dziś tego słowa, nie lubimy też tego, co oznacza. Wolimy noszalancję stylu, wolimy wielką prostotę „Przygody w Budapeszcie". Lecz patos Paule Regnier jest w najprzedniejszym gatunku. Akcentuje powagę chwili, podkreśla piękno gestu, jest szczery. Podobnie jak pompa kościelna, podnosi uroczystą doniosłość aktu. Pozwolić sobie na heroiczny patos, nie popaść w deklamację, to miara nieprzeciętnej pewności w doborze środków artystycznych.

Nieprzeciętną też powieścią jest L'Abbaye d'Evolayne. Wysoki poziom, miarowy rozwój dramatu, niepowszednia intryga zbierają się w doskonałą całość. „Opactwo" pełne iście malarskich wizyj, pulsujące bogactwem wydarzeń, jest przedewszystkiem powieścią problemu. Który z nich jest najważniejszy? Problem miłości, powołania, czy ofiary? Autorka odpowiada: p e ł n i a ż y c i a, ale pełnię znajduje każdy z nas w czem innem, w tem tkwi ziarno dramatu.

Do tak swoiście pojętej pełni, dąży współczesne małżeństwo: Adelaide i Michał Adrian. On, znany paryski chirurg ona młoda, zakochana istota. Doskonała harmonja pojęć, wiara w potęgę intelektualizmu, łącząca ich, ulega po wojnie pewnym zmianom. Adelaide wydostawszy się z mroku i niepokoju o męża-żołnierza, łaknie wrażeń: pełna impulsów domaga się szczęścia i pełni życia. Powolna w odczuwaniu wierna w posiadaniu, Adelaide trop feminine, toute en contrastes et revirements... jak mówi Michał, jest jego antytezą. Bo Michał, zawiedziony fanatyk wiedzy, ujrzawszy nicość nauki i ludzkiego postępu w Wielkiej Wojnie, szuka nowej racji bytu. Nieprzenikniona zwątpieniem twierdza szczęśliwości Adelajdy i bezcelowość życia Michała, muszą doprowadzić do poważniejszego rozdźwięku, Z tej rozbieżności dążeń powstaje jakieś nieokreślone przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Wyziera ono z atmosfery początkowych wydarzeń, nawiedza i niepokoi bohaterów:

„Dlaczego najsłodsze godziny wydawały się obojgu czemś tak wątłem? Dlaczego wpatrując się w nią, miał ten wyraz żalu i pożegnania? Rozkoszny moment chwiał się na kruchych wierzchołkach błogości i już między rzeczy minione opadał... Już zmieszanie ustąpiło z serca Michała, już i ona czuła się mniej piękną, mniej kochaną..."

Jedna z takich chwil w ciągu letniej wycieczki, poprzedza wejście na szczyt Evolayne, gdzie pragną zwiedzić opactwo benedyktyńskie. Ciekawi ich reguła klasztorna znana im z powieści Huysmans'a. Nie bez uroku jest fakt, że przyjaciel młodości Michała, ojciec Athanase, jest tam mnichem. Okolice Evolayne zdają się tym intelektualistom, Ziemią Świętą, wycieczka — pielgrzymką. I Adelajda nie domyśla się, że jest to ostatnie miejsce na świecie, w jakiem mogłaby czuć się bezpieczna. „Bo któż z nas, — woła autorka, — żeby nie wiem jak strzegł swego szczęścia, zdolen jest dostrzec chwilę, w której ten skarb wymyka się z rąk"... I Adelajda nie dostrzegła jej. Zetknięcie z Opactwem nie budzi w niej żadnych przeczuć. Gotowa jest uznać piękno „chimery tych mnichów", pokłonić się jej tak, jak zwykła była dotąd witać sztandary zaprzyjaźnionej armji. Boga uważa nie za cel sam w sobie, lecz dopełnienie darów świata. Inaczej ma się rzecz z Michałem: płomień wiary ogarnął go niespodziewanie, wypalił w jednej chwili męskie ambicje i pożądania. Nie czyniąc nic połowicznie przyjmuje Boga z wszystkiemi dogmatami i przykazaniami. I zanim się sam spostrzeże, Adelaide nieomylnym instyktem miłości przeczuje dalszą linję rozwoju: zerwanie ze światem i służbę Bożą. Nie jest natomiast w stanie przejrzeć własnego losu. Tej wędrówki, zaakcentowanej mistrzowsko przez autorkę — od rozpaczy, gniewu i ironji, przez dobrą wolę wyrzeczenia się Michała i życie zakonne — aż po sam bunt i samobójstwo.

Czytając „Opactwo" trudno powstrzymać się od uwagi: Nareszcie prawdziwy dramat. Nie, niema w tem żadnego okrucieństwa. Poprostu, jeżeli już musimy mieć z nimi do czynienia (a przecież literatura ostatnich lat nie szczędzi ich nam) to niechże będą prawdziwe. Nie patologiczne, nie wynikające ze szczególnych psychicznych zboczeń, lub co gorsza, fizycznych, ani te tragedje o nic, lecz prawdziwe ludzkie, ważkie od przyczyn i skutków, logicznie powiązane w całość. Przekonywujący strzęp życia ludzkiego, przekonywujący w żarliwej dążności do pełni ducha w szczęściu, czy nieszczęściu. Z nieprzeciętnej miłości Adelajdy, z niecodziennej żarliwości Michałowej wiary wysnuwa autorka konflikt pozbawiony cienia histerji kobiecej, bądź religijnej. Dramat Adelajdy — bo „Opactwo" jest dramatem dwoistości natury kobiecej, (dla Michała niema konfliktu; wyrzekając się wszystkiego, zyskuje równocześnie nowe „wszystko" i to wartościowsze)—obraca się wkoło praw posiadania i wewnętrznego imperatywu pełni, choćby w ofierze, ale zawsze — pełni.

Adelajda nie może jej znaleść. Pchana z jednej strony przez mistyczną dążność ducha do absolutnej harmonji i ofiary, wyrzeka się Michała. Z drugiej, prawo posiadacza do własności tak duchowej, jak cielesnej w stosunku do Michała wikła ją w sieci, z których niema dla niej wyjścia. Bowiem ofiara jej zamyka w sobie podświadomie ziarno kombinatorstwa, wykluczające pojęcie pełni. Idzie na „kompromis", oddając Bogu część duszy wzamian za Michałowa. Nawet wówczas, gdy ją uwiedzie piękno ofiary, kiedy krok po kroku idąc za Michałem będzie zdobywać szczyty mistycyzmu, nawet wówczas, gdy z dnia na dzień, po cząstce, po odrobinie, wreszcie całkowicie odda go Bogu, kiełkuje w niej nadzieja rekompensaty. To prawda, że nie umie się już zatrzymać, ale w tem tkwi tajemnica ofiary — „Bo — mówi Regnier — taka już jest moc poświęcenia... kto choć raz uległ pokusie heroizmu, na tego ludzka pokusa nie ma wpływu. Kto dosięgnął pierwszych szczytów ofiary z trudem zawraca..."

Ale prawdą jest i to, że nieustannie zawiera i odnawia jednostronne pakty z Bogiem: wstępując do klasztoru, składając śluby, uważała je za obowiązujące dla stron obu (któż z nas choć raz w życiu tego nie czynił?). Jakież to kobiece: sprowadzić Boga na ziemię i walczyć, jak z równym sobie: „Zostaw mi go Boże, a uznam Cię... Powstrzymaj go w drodze, a wyrzeknę się pokus świata... Pozwól nam pozostać w duchowym związku, a złożę śluby... lecz przedewszystkiem, niech będę po Tobie najpierwszą..." Adelajda nie umie rezygnować; nie może też dosięgnąć religijnej pełni. Nie może wespół z Michałem zawołać: Wejrzał na mnie Pan i poraził...

„Nie poraziła jej łaska, jak tarczą okryła się miłością Michała. Straszliwa tajemnica wiary tkwi w tem, że nie my ją wybieramy, lecz ona nas. Ale Adelajda zbyt późno poznaje tę prawdę... O, wieczna kobiecości, zawsze skora do ofiar i przedsięwzięć, przekraczających siły..."

Adelajda, zrzucająca szaty świetności, wyzuta z atrybutów Ewy - kusicielki, Adelajda uduchowiona, to najwspanialsze wcielenie kobiecych aspiracyj, zawsze sprzecznych: posiadania i ofiary. I właśnie taka, jaka jest, wydaje mi się najprawdziwsza. Cała złożona z sprzeczności, buntów i poświęceń. Nawet jej zwycięstwo jest czysto kobiece, tak, bo Adelajda na swój sposób zwycięża. Popełniając samobójstwo obala na chwilę nieprzenikniony mur mężowskiej obojętności. Na chwilę jest znowu tą, którą pragnęła być: najpierwszą. Tylko, że w danej chwili jest to jej zupełnie obojętne. Jej doczesne życie w obliczu śmierci staje się czemś tak małoważnem...

Zaiste zwycięstwo Pyrrhusowe.

*) PAULE REGNIER: L'"Abbaye d'"Evolayne.

Józef Marjan Chudek

„Mezaljans" panny Cieciszowskiej

Artykuł mój p. t. „Kraj lat dziecinnych Sienkiewicza" wywołał szereg nieporozumień. Echem ich jest m. in. ogłoszony na łamach „ABC" list p. dr. Ireny Friemannowej, ustalający na podstawie korespondencji Joachima Lelewela datę ślubu rodziców Henryka Sienkiewicza. Data ta nie budzi żadnych wątpliwości. Jeśli podałem omyłkę, jaka zdarzyła się podczas spisywania aktu ślubu, kiedy to spisujący akt zamiast roku 1843-go wpisał rok 1844, co później sprostowano na marginesie — to była to tylko ciekawostka archiwalna, niewątpliwie interesująca, jeśli chodzi o rodziców wielkiego pisarza, ale i bez innego znaczenia.

Że data ślubu rodziców Henryka Sienkiewicza nie ulega najmniejszej wątpliwości, to wynika nietylko z korespondencji Lelewela; można na to przytoczyć dowody bardziej niezbite. Metryka ślubu znajduje się w księgach metrykalnych pod datą 1843; na odwrocie obu kart znajdują się inne akta, spisane w tymże roku bez pomyłek. To więc jest pewne, że ślub odbył się w r. 1843.

List p. Friemannowej, ustalający datę ślubu rodziców Sienkiewicza, która to data i dla mnie była niewątpliwa, kończy się jednak stwierdzeniem, że „zatem wszystkie związane z tą sprawą dalsze wnioski autora upadają". Te dalsze wnioski to nazwanie małżeństwa Stefanji Cieciszowskiej „szaleństwem z r. 1843". Szaleństwem w ówczesnych czasach był mezaljans — a właśnie małżeństwo Stefanji Cieciszowskiej z Józefem Sienkiewiczem było, według ówczesnych pojęć, panujących w warstwie wielkoziemiańskiej mezaljansem.

Jeśli poruszyło się tę sprawę, to bynajmniej nie dla jakiejś dziennikarskiej sensacji, czy też bezcelowego szperania w szczegółach biograficznych. Sprawa ta znalazła swe odbicie w twórczości Henryka Sienkiewicza — i dlatego jest ważna. Wyraźne echa jej spotykamy mianowicie w „Starym słudze". Myślę też, że prawdziwy obraz Stefanji Cieciszowskiej, która bynajmniej nie była trusią ze szlacheckiego dworu, pozwalającą dowolnie rozporządzać rodzinie swoją ręką, ale była właśnie kobietą nieprzeciętną, samodzielną, nie wahającą się pójść za głosem miłości, zbliży bardzo jej piękną postać dzisiejszemu pokoleniu. Nie tak łatwo było pannie ówczesnej nie liczyć się z opinją sfery, do której należała. A opinja ta nakazywała układnej panience, która rosła w domu jak kwiatek w doniczce, z podziękowaniem zgodzić się, gdy pewnego dnia oświadczono jej, że zostanie żoną tego, a tego, wybranego przez rodzinę.

Ks. Alojzy Majewski w życiorysie dr. Józefa Lipkowskiego opowiada o małżeństwie jego ojca z hrabianką Barbarą Kossowską, wychowywaną w Dreźnie przez słynną Różę Sobańską.

„Właśnie skończyła szkoły, zbliżało się Boże Narodzenie, gdy ją ciotka zawołała do swego gabinetu. Barbara myślała, że będzie mowa o jakim podarunku na święta, a tymczasem ciotka przeczytała jej oświadczenie Leona Lipkowskiego, przysłane sztafetą. „A cóż to? Nie chcę" — odpowiedziała. Ale ciotka niepytając, zawiadomiła o zgodzie panny".

„Inne to były czasy — wzdycha sentymentalnie ks. Majewski — wtedy starsi rozstrzygali o wszystkiem. I dziwna rzecz — po większej części małżeństwa, choć nie z miłości, były szczęśliwsze niż dzisiaj".[1])

Wzruszające są westchnienia ks. Majewskiego, i pewność o szczęśliwości ówczesnych małżeństw, i zapomnienie, ile takie kalkulacje rozsądnych starszych niosły za sobą bezsilnych rezygnacyj, cichych tragedyj i będących ich następstwem urazów psychicznych. Starzy inną widzą dziś swą młodość. Są wiarogodniejsze dokumenty obyczajowości: karty listów i pamiętników, którym w ostatecznej bezsilności powierzano słowa rozpaczy. Dokumenty to w ogromnej części niepublikowane i nawet niewarte przedruku żywcem, ale jakie w nich wymowne niektóre zdania!

„Już wiem teraz, co to jest być mężatką — naiwnie pisze w swym dzienniczku w r. 1867 wydana zamąż przez rozsądną rodzinę Michalina z Karrów Zielińska z podlaskiego również Ostrożenia — a jednak sobie nie wierzę. O trzeba bardzo, bardzo kochać, żeby znieść to wszystko, co Pan Bóg na nas biedne kobiety zsyła. Ja nawet o tem ani miałam wyobrażenia i kto wie, czybym zamąż była wyszła, wiedząc o wszystkiem".[2])

Tak to było w tej epoce i w tej sferze. (Dwie „bidy" bez majątku ze wsi czy miasta nie miały tych kłopotów). Było to, co sobie wykalkulowali starsi. Tymczasem Stefanja Cieciszowska wyłamała się z szablonu. Bez oglądania się na starszych znalazła sobie męża sama.

Informuje o tem właśnie Prot Lelewel w liście z 16 lutego 1843 roku:

„Stefanja **znalazła sobie jakiegoś** Sienkiewicza w Sandomierskiem, idzie za niego pierwszych dni maja, **nie znamy nic**"[3]).

Wymowny to list! I on to upoważnia do nazwania kroku Stefanji Cieciszowskiej szaleństwem, ponieważ tak po imieniu nazywano wtedy to wszystko, co młodzi robili na własne ryzyko — bez udziału statecznego rozsądku starszych.

List Prota Lelewela jest również argumentem na korzyść twierdzenia, że Józef Sienkiewicz nie wiele znaczył w ówczesnem pojmowaniu ziemiaństwa podlaskiego. Znało się wtedy nie tak ludzi, co majątki. Człowiek znaczył o tyle, o ile jako tło posiadał majątek. Był niby kamień w pierścieniu. Mógł być marną imitacją brylantu — zyskiwał na cenie, wprawiony w złoto majątku; bez tej oprawy, choć diament najprawdziwszy — budził nieufność. Wprawdzie rodzice Józefa Sienkiewicza posiadają jakieś tam Grotki, ale tu blisko, dla dziedziców na wsiach z przyległościami on — tylko administrator z Woli Gutowskiej—był niewiadomo kim — poprostu „jakimś". A wyjść za „jakiegoś" — to był mezaljans.

Dziś pojęcie mezaljansu potrąca o sferę intelektualizmu. Ale wtedy?

Jak wielkie zaszły przesunięcia w poglądach na mezaljans, niech świadczy fakt, że sam Henryk Sienkiewicz mezaljansem nazywa małżeństwo córki ziemiańskiej z doktorem. Kto nie wierzy, niech odczyta „Starego sługę", znanego mu może z dzieciństwa, lecz wówczas szereg rzeczy musiał ujść uwagi.

„Stary sługa", jak to wiadomo, jest pierwszym ze „Szkiców z życia i natury". Drukowała go z dużym sukcesem ówczesna „Gazeta Polska", za redakcji Edwarda Leo. Przez nazwanie tego utworu szkicem Sienkiewicz związał ręce krytykom, chcącym go atakować za usterki kompozycyjne. Teoretyk-stylista nie może tego utworu nazwać nowelą. To tylko montaż mechaniczny świetnie zaobserwowanych scen, o ile pominąć cień wątku w sensie beletrystycznym. Ten nierozbudowany i przytłoczony niepotrzebnemi szczegółami wątek — to historja mezaljansu cioci Maryni.

Już w trakcie druku tak „Stary sługa", jak „Hania", budziły zainteresowanie głównie wskutek podejrzeń, że Sienkiewicz pisze o sobie. Podejrzenia o autobiografizm — to ułatwianie sobie sprawy. Jest bowiem nonsensem mówić, że autor żywcem opisuje siebie, gdyż nawet pamiętnik jest kompozycją elementów przeżytych, a cóż dopiero utwór artystyczny! Rzeczy w „Starym słudze" pierwszorzędne są rezultatem przetwarzania artystycznego, zato elementy, które się na nie składają, są pełnemi garściami brane z własnych przeżyć i obserwacyj. Pomysł mezaljansu cioci Maryni nie przyszedł z powietrza. To przetworzone zdarzenia z życia własnych rodziców. Niedawno zmarła matka przeobraziła się w ciocię Marynię.

„Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, **ciocia Maryn'a w grobie**; ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania ...

Hej! Łzy się kręcą!".

Na tych słowach kończy się „Stary sługa".

To, co stanowi jądro mgławicy, jaką jest ten szkic, jest takie krótkie, że można to przytoczyć w całości.

„Na nieszczęście Mikołaja, doktór **nietylko po panienkę sięgnął, ale jej nawet dosięgnął.** W pół roku potem nastąpiło wesele i panna pułkownikówna, **oblana potokiem łez krewnych i domowników** w ogólności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dolę z doktorem.

Mikołaj do niej urazy nie chował, bo nie mógł długo chować: zbyt ją kochał, ale jemu nie chciał przebaczyć. **Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska** i wogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem, **jak najszczęśliwsza.** Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potem już na przemiany, jak zapisał. Mikołaj te dzieci kochał jak własne, obnosił je na ręku, pieścił, całował; że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorycz spowodu **mezaljansu**[4]) cioci Maryni, zauważyłem to niejednokrotnie".

Plastyka tego obrazka jest niezwykła. Niema w tej sytuacji nic papierowego, bo być nie mogło, gdy się pisało o czemś tak żywo obchodzącem autora. Wystarczy zmienić Marynię na Stefanję, Stanisława na Józefa, a będzie gotowy obraz pierwszych lat pożycia małżeńskiego Sienkiewiczów i stosunku rodziny żony do nich. Te wszystkie sprawy rodzinne przypomniała Sienkiewiczowi niedawna śmierć matki, a że kompleks narzucał się silnie, wyzwolił się w utworze literackim.

„Mezaljans" Stefanji Cieciszowskiej jest bezsprzeczny. Jeśli się go stwierdza, to nie poto, aby robić z tego sensację. Przez poznanie małżeństwa Sienkiewiczów można ustalić, komu ich wielki syn zawdzięczał w spadku tradycjonalizm, a idąc dalej, zrekonstruować da się drogi, które doprowadziły go do epiki. Jeśli badania mają mieć sens, trzeba uwzględniać wszystkie czynniki. Gdy chodzi o Sienkiewicza, wszystko jest ciekawe. Nawet pomyłka w dacie ślubu rodziców. I dlatego też warta była wspomnienia.

P. S. W związku z listem p. Wacława Janasza, ogłoszonym na łamach „ABC", wypada mi chyba stwierdzić, że Szanownego autora listu zawodzi pamięć. Powiedzenia jego powtórzone zostały według notatek, robionych przeze mnie w czasie krótkiej rozmowy. Notatki te posiadam.

[1]) Dr. Józef Lipkowski Pallotyn. Warszawa 1933. Str. 13.

[2]) Ważniejsze wypadki z życia Michaliny Karra, przez nią samą zebrane i spisane, i różne notatki od najmłodszych lat, aż do jej zamążpójścia. Rękopis ze zbiorów Stanisława Sokołowskiego w Warszawie.

[3]) Listy Joachima Lelewela. Oddział pierwszy. Listy do rodzeństwa pisane. Tom II. Poznań 1879. Str. 292.

[4]) Jedyne w tym fragmencie podkreślenie Sienkiewicza.

W najbliższych dniach rozpoczniemy w odcinkach powieściowych „ABC" równocześnie druk dwóch świetnych powieści z współczesnej literatury angielskiej i francuskiej. Są to powieści

J. B. Priestley'a

„Bohater"

oraz

Charles Braibant'a

„Król śpi"

J. B. PRIESTLEY, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy angielskich, którego krytyka nazywa nowym Dickensem, autor głośnych „Dobrych towarzyszy", w swej nowej powieści p. t. „BOHATER" („Wondenhero") daje pełen humoru i pasji satyrycznej obraz kulis dziennikarstwa.

CHARLES BRAIBANT — to rewelacja współczesnej literatury francuskiej. Jego powieść „KRÓL SPI", która jest epopeją chłopską w wielkim stylu, zapewniła autorowi odrazu czołowe miejsce w piśmiennictwie francuskiem i laury jednej z największych nagród literackich Francji.

Don Pedro Calderon de la Barca — *Wolny przekład Edwarda Boyé*

„Czyściec świętego Patryka"

Rzecz dzieje się w wieku IX. Pod dowództwem narzeczonego córki królewskiej Polonji — rycerza Filipa — nawy korsarskie wyruszyły przeciwko katolickiej Irlandji. W drodze powrotnej do Normandji okręty zaskoczyła burza. Z fal oceanu wyratował się tylko jeniec Filipa — rycerz irlandzki, Ludwik Enjusz. Po upływie pewnego czasu, Polonja przekonana, że Filip zginął, zwraca swe uczucia ku Ludwikowi. Filipa tymczasem wyratowała z morza wieśniaczka Zlocia.

Z aktu pierwszego

(Normandja. Chata wiejska nad brzegiem morza).

LLOCIA:

Wybaczcie, jeślim nie umiała
Ugościć, przyjąć, jak należy!

FILIP:

Wybaczam wszystko jaknajszczerzej,
Wybaczam więcej, niż sądzicie,
Naprzemian szczęśliw i strapiony,
Czujący rozkosz wpół, wpół mękę,
Kiedy miłosnych snów jutrzenkę
Po waszych ócz ścigam błękicie!
Prócz wybaczenia i podziękę
Winien wam jestem za gościnę,
A prócz podzięki — wybaczenie
Za wszelkie zło i utrapienie,
Za to, że przez was powrócony
Życiu, znów teraz przez was ginę!

LLOCIA:

Wieśniaczka jestem nieuczona,
Przeto i mowa zda się ciemną,
Miast po próżnicy gadać ze mną,
Corychlej weźcie mnie w ramiona,
A uścisk będzie wam responsem!

JUAN PAULIN (na stronie):

Rety! Co widzę, wstydu ponsem
Zapalon! Rety! Moja żona
W objęciach gaszka? Tam, do kata!
Jam mąż! Co czynić? Ani chybi
Że zabić! Nuże więc!... prask, puk,
Aż się oboje zwalą z nóg!
Prask, puk — powiadam! Tak... hm, ale
Wszak nie zważyłem na to wcale,
Że równie ja ją z tego świata
Jak i on mnie sprzątnąć może!

FILIP:

Czarowna nimfo! Za gościnę
Przyjmij klejnoty, których krasa
Kraśne na niebie śmiewa zorze!

LLOCIA:

Że z waszej panie idą dłoni,
Więc skromność wziąć mi ich nie broni,
Jeno nie myślcie, żem jest łasa
Na te błyskotki...

JUAN PAULIN (na stronie):

...Kłopot nowy!
Gdy klejnotami darzą żonę
Cóż na to mąż?... Ha! Mąż na stronę
Usunąć chyba się powinien!

LLOCIA:

Nie mam łańcuszków złotych, ani
Serc djamentowych, więc jedynie
Miast skarbów — miłość wam powierzam!

FILIP:

W niewolę mnie wzięliście pani
Tak wymarzoną, że wśród marzeń
Samemu sobie nie dowierzam,
Patrząc, jak się zaciera, ginie
Tam, na tym mrocznym oceanie
Wszelaki ślad mych smutnych zdarzeń!

JUAN PAULIN:

Znów się cackają! Ha! Mospanie!
Nie widzisz, że to ma Llocia?

FILIP

Wasz mąż nas zoczył! Nie chcę go tu
Oglądać, żegnam was na chwilę!
(Gdy dzień za dniem jednako mija
Pośród udręki i kłopotu,
Gdy niebo mroczy się od chmur,
Zaliż Polonjo jeszcze wtór
Twe serce memu sercu trzyma?
O morze, któreś w swe otchłanie
Tysiące ludzkich serc porwało!
O, ty, złowrogi oceanie,
Bijący w gwiazdy fal nawałą).

JUAN PAULIN:

Już chyba głośno mówić można?
Ha! Llocio, żono cudzołożna!
Jakem Paulin! Tym dębczakiem
Spiorę cię dzisiaj bez litości!

LLOCIA:

Z złośliwym gburem i prostakiem
Nie gadam! Ruszaj precz i niech
Czart wrzajem twe przeliczy kości!

JUAN PAULIN:

Więc złośliwością zwiesz przypadek?
Traf, co mi odkrył twą niecnotę?

LLOCIA:

Tak, bowiem mąż mój, jako świadek,
Tę zawsze winien mieć ślepotę,
By, patrząc, widział jeno wpół.

JUAN PAULIN:

Cudownie zatem! Niechaj będzie
Według twej woli! Razy dwa
W wszetecznym cię uścisku czuł
Ów djabli żołnierz, co z topieli
Na mój wydobył się frasunek
Ponieważ miałem widzieć wpół,
Więc, dzieląc razy dwa przez dwa,
Liczę Llocio, że całunek
Był tylko jeden! A że równo
Za dwa całunki setkę plag
Miał ci wymierzyć twardy pniak,
Więc, gdy skończymy obrachunek,
Zostanie jeszcze plag połowa,
Czyli pięćdziesiąt, albo kopa
Tak! prawie kopa bez dziesięci,
Według twych maksym, a mych chęci
Tęgo zliczona na twej skórze!

LLOCIA:

Ach, ty brutalu, kpie, ty gburze!
Małżeńskich tyraństw wzorze rzadki,
Szkoda, że wszyscy męże świata
Nie widzą teraz, jako świadki
Karesów twych choćby półczwarta!

JUAN PAULIN:

Co mówisz, Llocio? Hę? półczwarta?
Niech zliczę... cierpliwości trocha
Poczekaj!... a więc jesteś warta
Dwanaście i pół plag...

LLOCIA:

...Czy tak
Poczyna mąż, co żonę kocha?

JUAN PAULIN:

Cóż mam więc czynić?

LLOCIA:

Zamknąć oczy
I gdy pozory prawdę kryją,
Wierzyć jedynie w słowa moje!

JUAN PAULIN:

Wreszcie, djabelska ma Llocio,
Nawskroś przejrzałem chęci twoje!
Niechybnie dębczak ten do ręki
Wziąłbyś zamiast mnie, ty sama,
By później głucha, jako mur
Na me zaklęcia, prośby, jęki
Wliczyć mi w skórę setkę plag,
Gaszkowi zasię swoje wdzięki,
Jak najłaskawsza oddać dama!

FILIP:

Jeszcze tu tkwi natrętny gbur?

JUAN PAULIN:

Panie żołnierzu! W samą porę
Przychodzisz Asan! Właśnie całem
Sercem dank nieść ci zamyślałem,
Za zbytek łask twych i zaszczytów!
W próg domu wlazłeś obcesowo,
A że chudoba warta mało,
Więc prócz chudoby romansowo
Mej żonki jeszcze się zachciało!
Panie żołnierzu! Niewymownie,
Wdzięczny ci będąc za honory,
Cieszę się, żeś już nie jest chory,
Żeś w sadło porósł nam cudownie!
Lecz kiedy zdrowie na wszem płuży
Nielza już z drogą zwlekać dłużej
I mnie też wzajem nielza czekać
Aż na mój dom sprowadzisz nierząd,
Aż poczniesz jurzyć się i wściekać
Na wzór drapieżnych, dzikich zwierząt,
Tak, jak niedawno na wzór ryb,
Krająć lustrzaność morskich szyb,
Uczyłeś się bobrować na dnie.

FILIP:

Szkaradna zazdrość tobą władnie,
Lecz po próżnicy czas mitrężem
Na spór i zwadę bez kozery!

JUAN PAULIN:

Z kozerą, czy też bez kozery
Do krośset, jam tu Llocii mężem!

Z aktu drugiego

(Normandja. Na dworze króla Egerjusza).

LUDWIK ENJUSZ:

Polonjo moja! Kto wysoko mierzy,
Kto mieczem siecze na niebieskie księstwa,
Losów zuchwale wciąż przechodząc szranki,
Ten winien wiedzieć, że serce kochanki,
Troską i smutkiem rozstań nademdlone,
Znagła się w inną może zwrócić stronę,
I że ta serca kobiecego zdrada,
Jest tylko losu przeciwnego znakiem,
Losu, co psowa wszczęt pyszne zamysły,
Przypominając, że od nieb zawisły
Jest człek, z najlichszym pospołu robakiem.
Polonjo moja! O, ty, co w postawie
Mdłej, białogłowskiej z mężnem sercem [chodzisz.
Powiedz, czy jeszcze uczuć nie odwodzisz,
Od tych, co zmarli na strzaskanej nawie?
Filip przodował mi w szlacheckim stanie,
Nad gmin go sławne wzniosło urodzenie,
Lecz, gdy za sławę herb przodków nie stanie,
Sławą cnót własnych bywa uszlachcenie.
Rodzic twój chciwie do piersi przyciska
Niejeden srogi łup na wojnie wzięty,
Łup, ku któremu Mars spragniony sięga.
Byłem, jak piorun, co ku ziemi błyska,
Byłem, jak krwawa błyskawicy wstęga,
Rozdzierająca mrocznych mórz odmęty!

POLONJA:

Ludwiku! Twoje walory,
Nabyte to, czy dziedziczne,
Blask taki sieją przeraźny,
Że serce w piersiach niemieje,
A trwoga dech w ustach zatyka.
Znak to, Ludwiku, wyraźny,
Że serce w twych cnót hołdownika
Przemienia się już mimowoli!
...I coś mnie rani, coś boli,
Coś dziwną napawa tęsknością;
Może to miłość — dla sromu,
Tająca się pokryjomu,
I jeszcze nie zwana miłością?
A może jedynie to trwoga
Przed władzą Amora-boga,
Co duszę mi niezbłagany
W twarde chce zakuć w kajdany?
Nie wiem, ach nie wiem, lecz przy tem
Niechcąc, byś lekce był zbytym,
To jeno powiem; Ludwiku!
Że jużbym na twe zaklęcie,
Spłonione wprzód słoniąc lica,
Dawno pierś wrzącą podała,
Gdyby tym związkom na wstręcie
Nie stała wola rodzica.
Cóż powiem więcej? Na czyny
Wciąż większe sposób swe chęci,
Aż sława miłość uświęci
I z mirtem się zwiążą wawrzyny.

LUDWIK ENJUSZ:

...Jakąż mieć mogę porękę
Twej obietnicy?

POLONJA:

...Tę rękę
Weź za obietnic gwaranta!

FILIP (wychodząc na scenę):

Hejże! Nie tak znów skwapliwie
Z tą ręką!

POLONJA:

...O wielkie Nieba!

FILIP:

Nowego widzę amanta
Winszować Polonjo ci trzeba!
Lez darmo! Nie bez kozery
Filip tu do was przybywa!
Wezdrgniecie się na kolery
Mych gniewów i ty, niepoczciwa
Dziewko i ty, gładyszu!
Niedawno u mojej nogi
Czołgałeś się w dyby zakuty,
Jużeś zapomniał, już w drogi
Śmiesz wchodzić mym prawom i gustom?

LUDWIK ENJUSZ:

Szyderczym, zuchwałym ustom
Wnet wszelkich drwinek zakażę,
Jeślim nie ważył się wczora,
To dziś już odkrycie się waże!
Kim byłem — wspominać nie pora,
Kim jestem — oto rachuba
Jedyna, gdy czasu próba
Wszystko przywodzi na nice!
A tem się, Filipie, dziś szczycę,
Że walor mój już przodkuje
Czci twej...

FILIP:

...Więc za przodownika
Mam mieć pachołka i szuję?

LUDWIK ENJUSZ:

...Zawściągnij radzę języka
Albowiem błądzisz!

FILIP:

...Nie błądzę!

LUDWIK ENJUSZ:

Więc jeśli nie błądzisz,
To sądzę...

FILIP:

...Że co?

LUDWIK ENJUSZ:

...Żeś łżesz! (policzkuje go i znika ze sceny).

FILIP:

O, biada,
Rozpacz, szaleństwo, zagłada!
Na oczach, na czole krew!
Ach, serce tchórzliwe z trzew
Czarciemi wyrwę mu szpony!

EGERJUSZ:

Kto zgiełk tu wszczyna?

FILIP:

...Szalony
Człowiek, któremu nikt teraz
Morderczych nie wstrzyma żelaz!
Z jadum się skąsał i lepy
Krwi zsiadłej na sobie noszę,
A jeśli śmierć stanie mi wspak,
To śmierć szablicą przepłoszę.
I głuchy na wszystko i ślepy
Pójdę w honoru zakale,
Aż mi szkarłatne fale
Ten honor omyją z plam!

EGERJUSZ:

...Bierz pomstę!

FILIP:

Pole mu dam
Tutaj, przed Majestatem,
Sam będąc sędzią i katem! (wybiega).

Zasłona.

Jan Rembieliński

Poeta prawdziwy

Jest dość naturalne, że wobec tłumu poetów fałszywych, udających natchnienie, pośród zgiełkliwej reklamy, rozsławiającej ich osoby i utwory, ujdzie uwadze ogółu, nie narzucający się i nie spostrzegany przez szersze rzesze — poeta prawdziwy. Zwłaszcza jeżeli poeta ten kroczy samotnie, własną ścieżką, zdala od rynków gdzie zachwalają modny towar literacki i ustalają obiegową jego cenę.

Takim poetą prawdziwym, zawsze rzetelnym w stosunku do siebie i swojej pracy twórczej, był zmarły przed trzema tygodniami Tadeusz Newlin-Wagner. Jego osamotnienie, jego cyzelatorstwo, jeśli chodzi o formę wiersza, nasuwałoby pewne analogje z Felicjanem Faleńskim. Ale podobieństwa to raczej powierzchowne: Wagner głęboko uczuciowy, wrażliwy, bardzo daleki był od chłodnego estetyzmu parnasisty, nie miał w sztuce swej nic z jubilera.

Dotknięty kalectwem głuchoty, wątły i chorowity, z natury rzeczy niewiele mógł obcować z ludźmi, ich towarzystwo — wyjąwszy paru bliskich przyjaciół i rodziny — raczej męczyło go i drażniło. Tem poufalej zato współżył ze światem wielkich twórców z różnych epok za pośrednictwem ich dzieł, których czytanie — jak sam wyznał — stało się dla niego z biegiem czasu źródłem „j e d y n e j r a d o ś c i". Nikt zapewne z większą słusznością nie mógłby powtórzyć o sobie słów, wypowiedzianych na 2 lata przed śmiercią, przez unieruchomionego też już wówczos chorobą, Stanisława Wyspiańskiego: „Pociecho moja ty, książeczko, pociecho smutna..."

To nieustanne przebywanie w świecie literatury przeznaczało go niejako na tłumacza, a owocem pracy w tym zakresie był wydany w r. 1929 (nakładem „Roju"), piękny tom p. t. „Skarb dusz — Ze stu dwudziestu pięciu lat liryki 1775 — 1900". Znamienny bardzo jest w tej książce dobór poetów, z których dokonywał przekładów: A. Chénier, V. Hugo, A. de Vigny, Leopardi, D'Annunzio, Byron, Shelley, Keats, Rossetti, Bürger, Goethe, Novalis, Schlegel, Tieck, Matthisson, Heine, Lenau, Fontane, Liliencron, A. Tołstoj, Sołowjew, Mereżkowskij... Informuje ta lista o atmosferze duchowej, w której żył Newlin - Wagner, gdyż — jak zaznaczył w przedmowie — brał on od przyswojenia to jedynie, co „kiedyś, w jakiejś chwili było mu bliskie, drogie i zrozumiałę".

Własna twórczość poetycka Newlina - Wagnera nie była obfita. Pozostawił dwa niewielkie tomiki wierszy, wyłącznie lirycznych: „Wiecznemu pięknu" (1919) i „Zaczarowany dom" (1927). Częsty w nich jest motyw smutku i rezygnacji:

„Ludzie, którzy mnie „znają od [dziecka",
Ludzie, „którzy najlepiej mi życzą",
Mówią, mi, żeś chciwa i przewrotna —
Że zła jesteś, oschła i zdradziecka...
— — — — — — —
Nie potwierdza mój uśmiech, ni [przeczy...
Czy wie o tem „ktoś bardzo życzliwy",
Że, gdym wyszedł z śmiertelnych [utrudzeń,
Chcę od życia jednej tylko rzeczy:
Nie, jak dawniej, prawdy — dziw nad [dziwy, —
Lecz innego czaru: pięknych złudzeń".

Jednakże, kiedy od własnych udręczeń zwraca się ku ideom ogólniejszym, liryka Wagnera zmienia swój nastrój: po katolicku religijny, poeta nie buntuje się przeciwko ładowi Bożemu w świecie, uznaje go i stąd czerpie siłę moralną i spokój, płynący z ponadosobistych przywiązań. Na przemijające troski człowieka znajdzie lekarstwo w poczuciu wieczności życia narodu:

„I tylko wiedzieć trzeba, żeśmy nie na [stypie;
Jednem życiem od wieków szumią [łany żytnie
Serce, Ojczyźnie wierne, gdy się [w proch rozsypie,
Znowu Ojczyzną będzie, kiedy w kłos [wykwitnie".

Do najpiękniejszych w dziele poetyckiem Wagnera należą krótkie wiersze religijno - refleksyjne, które zwięzłością aforystyczną, powagą treści i kunsztownością formy dorównywują nieraz stancom Moréas'a.

Pomimo staranności, z jaką opracowywał swe wiersze, pomimo daleko posuniętego autokrytycyzmu, wartość utworów Newlina - Wagnera nie zawsze utrzymuje się na tej samej wyżynie: niejedno dziś już wydać się może czytelnikowi trochę nazbyt po „młodopolsku", staroświeckie. Niejedno wszakże pozostanie trwalej, niezależnie od zmienności gustów i mody. A to stanowi przecież dostateczną i — najwyższą zapłatę za trud poety.

Bronisław Komierowski

„Ja" wyzwolone

Jacques Maritain, pisarz katolicki, bojowy pisarz, taki właśnie, jak być powinien, kto broni wielkiej rzeczy. Trzeba głosu dobyć, bo z głuchymi sprawa — z przyrodzenia, albo z symulacji. Maritain ma styl imperatywny; ale nie przemawia do szeregowców, mierzy w przywódców i w hersztów. Jego konstrukcja jest zawsze solidna, analiza, gdzie trzeba, druzgocąca bez litości. Sam wykształcony filozoficznie, nie unika zawiłości swej wiedzy. Wymaga od czytelnika pewnego cenzusu. Z tej racji popularny nie jest.

Dostał mi się egzemplarz jego książki p. t. „Trois Réformateurs", z dedykacją dla jakiejś nieznanej osoby. Książka następnie dwa razy jeszcze zmieniała posiadaczy, — ale kartki przecinałem ja. Zrazu z uprzedzeniem, ze względu na precedens, potem z coraz większem zajęciem. Dziś nieraz jeszcze do niej wracam.

Dzieje mojego egzemplarza budzą niejedną refleksję. Mimo przebogatej treści, książka jest u nas mało znana. Nie mówię już o przekładzie!

Nie zamierzam jej streszczać, podam tylko fragment, który ujawnia największego szkodnika naszej ery, omawia jego genezę i kształtowanie się w przeciągu wieków.

Trzej Reformatorowie to Luther, Descartes, Rousseau. Każdy z nich w swoim czasie i w swoim zakresie pracował nad oswobodzeniem z powijaków średniowiecza ludzkiego „ja", nad obdarzeniem tego tworu samodzielnem istnieniem i pełnią praw. Zadanie w pewnym zakresie słuszne i wdzięczne, tylko zakres nie dawał się utrzymać. Każdy z Reformatorów rozpętał jakąś siłę, która w następstwie spętała człowieka.

Luther zapoczątkował indywidualizm duchowy. Przyczem własną naturę, wraz ze wszystkiemi jej ułomnościami, utożsamił z „ja" ogólnoludzkiem i z tego „ja" uczynił ośrodek życia duchowego. Descartes oswobodził myśl. Odgrodził ją od przeszłości i uniezależnił od wszelkich ziemskich wpływów. Pociągnął ludzi łatwością, z jaką mogli — w drodze intuicji — dochodzić do prawdy. W rezultacie oczyścił życie z wszelkich prawd i przygotował pole pod zasiew „prawdy" Rousseau. Rousseau odkrył „człowieka natury" i „wolność". Tak, jak i Luther z własnych niedostatków uczynił prawo powszechne i ogłosił światu, że asocjalność jest przyrodzona ludzkiej naturze. Dokończył dzieła, — jednostka u niego jest już skończoną całością, złączoną na swoją biedę i w sposób nieokreślony z innemi całościami. Najważniejsze zagadnienie społeczne — stosunek jednostki do społeczeństwa, rozgraniczenie praw i obowiązków — zostało w ten sposób pominięte, albo spaczone.

Jednostka — całość jest najsmutniejszym darem Reformatorów. Taka jednostka musiałaby chyba mieć atrybut boski i życie sobie podporządkować, — inaczej staje na marginesie życia, traci sens istnienia, wnosi rozkład w otoczenie i sama nie jest w stanie zabezpieczyć własnej równowagi.

Wpływ Reformatorów sięgnął głęboko i daleko, gdyż urobił umysłowość znacznego odłamu ludzi, przeniknął do instytucyj, do obyczajów i to na niemałym obszarze dziejów, bo aż do naszych czasów.

Maritain przeciwstawia destrukcyjnym wpływom Reformatorów konstrukcję filozofji chrześcijańskiej, tej z doby średniowiecza, która po dziś dzień stanowi najczystsze źródło dociekań w sprawach ducha. Ona jedna ujęła najtrafniej zagadnienie jednostki, jej wewnętrznej swobody, stosunku do całości, podziału praw i obowiązku. Ona jedna dostrzegła i uwzględniła dwoistość jednostki, jakby dwie postacie odmiennej natury — dwa przeciwne bieguny jednego ciała. Jeden pogrążony w swojem środowisku, związany z niem instynktem, czy skłonnościami, drugi — nie mieszczący się całkowicie w tem środowisku, starający się od niego uniezależnić. Zgodnie z czem myśl chrześcijańska rozróżniała dwa pojęcia: individuum i persona.

U tego źródła trzeba się zatrzymać. Nie będzie nikomu z drogi, bo prawdy, jakie stąd można zaczerpnąć, nigdy nie były tak jasne, ani tak potrzebne. Na modłę współczesną można to tak wyrazić:

Indywiduum — osobnik jest bezpośrednim wyrazem procesu rozwojowego, wspólnym wszystkim tworom od kryształu do człowieka. Pozostaje zawsze ułamkiem ziemskiej natury i nie może jej się przeciwstawić. Ma jeden tylko nakaz: trwać i rozwijać się, a do swego celu idzie w sposób właściwy ziemskiej naturze — po linji najmniejszego oporu i myśląc o sobie.

Persona — osobistość jest już dalszym wyrazem procesu rozwojowego, wyrazem, który w warunkach ziemskich zjawił się jakby nieoczekiwanie. Wydaje się, jakby ta strona ludzkiej natury należała do społeczności, która się jeszcze w pełnej mierze w ziemskich warunkach nie mieści. Więc zabezpieczenia swego bytu szuka nazewnątrz. Aby więc odnaleźć, musi o sobie zapomnieć, a do swoich celów idzie wbrew porządkowi natury — po linji największego wysiłku i przy stałem napięciu woli.

Osobnik, jako cząstka, musi we wszystkiem podlegać całości. W społeczeństwie znajduje formę, która go całkowicie ogarnia i urabia stosownie do swoich potrzeb. Osobistość w pewnej mierze wybiega za społeczne granice. Ma własny cel i bierze na siebie odpowiedzialność — natomiast w stosunku do życia społecznego jest jedynym czynnikiem twórczym. Ona jedna wytwarza pierwiastki, zasilające to życie. Można powiedzieć, że osobistość oddala się od swego społeczeństwa, jak roślina od ziemi. Dąży ku słońcu, lecz korzeniami tkwi nieodmiennie w swojem środowisku, a za względną swobodę odpłaca się kwiatem i ziarnem.

Narzuca się nieodparcie wniosek, przez św. filozofa z Akwinu wyraźnie sformułowany: W zdrowym ustroju społecznym osobnikowi należy się przymus, a osobistości — swoboda.

Rzeczywistość wybrała inną drogę. Wiekowa walka o wyzwolenie jednostki była naprawdę przecinaniem więzów, krępujących indywiduum. Luther, czyniąc z „ja" ośrodek życia duchowego, właściwie do tego życia powołał tylko indywiduum. W naukach Rousseau niema zgoła miejsca dla osobistości. „Człowiek natury" idzie po drodze najmniejszego wysiłku, jest niewolnikiem zmysłów i popędów i myśli o sobie. Uwolnione z pęt indywiduum poszło w świat i oto je mamy u siebie.

Zagadnienie indywidualizmu rozwiązaliśmy po myśli Reformatorów i wprost odwrotnie od wskazań myśli chrześcijańskiej: wszystkie prawa mamy dla osobnika.

Oczywiście rozgraniczenie jednostki na osobistość i indywiduum nie jest brane pod uwagę, nawet nie istnieje w powszechnej świadomości. Przywileje osobnika wypływają same przez się z dziedzictwa przeszłości, z nastroju myśli, ze społecznego ładu, czy nieładu. Cechy osobnika są wszystkim wspólne, więc budzą współczucie i wyrozumiałość. Cechy osobistości wyróżniają ludzi — więc ich dzielą. Tylko pierwsze mają prawo do społecznej obrony, drugie spotykają się zasadniczo z podejrzeniem — ustrój demokratyczny wyróżnień nie lubi. Dla tego z nakazu kodeksów, z obyczaju, z poczucia słuszności nie wolno przeszkadzać objawom przyrodzonych popędów: nienawiści, walki, użycia — gdyż tem się obraża zasadę wolności. Ale można prześladować wiarę i przekonania.

Przyjęty przez nas podział ułatwia orjentację. Widzimy, że stwór niekompletny, stanowiący tylko podłoże człowieka, poddany jednemu tylko nakazowi: trwać i rozrastać się — stał się pełnoprawnym gospodarzem życia.

Cała ideologja dzisiejsza, gdy mówi o człowieku, o swobodzie, pomija osobistość. Ustawodawstwo zna przedewszystkiem indywiduum. Zdobycze w zakresie *o b y c z a j o w y c h* praw kobiety idą w 100 procentach na rzecz indywiduum — prawa osobistości nie rozróżniają płci. Instytucja małżeństwa stała się beznadziejną próbą współżycia dwojga „ja" — bez zobowiązań. Jeśli usłyszymy wołanie o wolność, o przestwór dla „rozpięcia skrzydeł do lotu", aspiracje do „życia", wyrzekanie na duszność atmosfery mieszczańskiej, na brak ideałów, — nie łudźmy się, ten poryw rycerski, to ciągle indywiduum, starające się pozbyć jakichś resztek łańcucha. A niechże osobistość, broniąc swych praw i zgodnie ze swoją naturą, zapragnie dla siebie zewnętrznego oparcia, — obruszy przeciw sobie zorganizowane falangi, występujące do walki z klerykalizmem, z nacjonalizmem, z wstecznictwem.

Indywiduum zdołało zagarnąć dla siebie nawet bohaterstwo, jak świadczy tak popularny obecnie kult żołnierza nieznanego.

Na wojnie zwycięża poświęcenie, odwaga, rozum — wszystko cechy osobistości i wszystko dokładnie znane. Każdy epizod wojny ma swoje dokumenty, ustalające szczegółowo, nawet drobiazgowo i imiennie zasługi i winy. Bezimienne mogą zostać tylko nieświadome odruchy indywiduum, zagrożonego w swem istnieniu: panika, porzucenie broni, grabież, okrucieństwo, albo rozpaczne czyny odwagi. Kto rozpoczął? — Niewiadomo, bo odpowiedzialność jest zbiorowa, względnie zbiorowa jest zasługa, jeśli czyn miał pomyślne następstwa. Prawda, że zostaje zawsze, rozsiana w masach, jakaś reszta bohaterstwa, której raporty nie zdołały ujawnić. Dlatego myśl uczczenia *t a k ż e* tej reszty pod postacią żołnierza nieznanego była bardzo wdzięczna. Taki zapewne miał cel wnioskodawca, ale wdzięczną myśl pochwyciła opinja, nawykła już do orjentacji w jedną tylko stronę. Z bezimienności uczyniono symbol, czczony nie *t a k ż e*, lecz wyłącznie. Nie czczimy w nim zatem jakiejś utajonej reszty, ani osobistości, która jest znana, — czcimy w nim indywiduum, pociągnięte do ofiary, której doniosłości nie mogło ocenić...

Gospodarka indywiduum! Czyż trzeba jeszcze szukać innych przyczyn ujemnych objawów, w które tak obfituje nasza doba?

I nie to jest najgorsze, że niefortunny gospodarz, idąc za ślepym popędem, nabroi, że nam życie odspołeczni, — stokroć jest gorzej, że je ogłodzi i wyjałowi. Czemże je będzie karmić? Pierwiastków odżywczych z siebie się nie dobywa, trzeba po nie sięgnąć nazewnątrz — czyli oddać głos i wolę osobistości.

Więc tymczasem żyjemy w dziwnym świecie. Cała strona życia, w której gospodarz jest niekompetentny, przedstawia się nierealnie. Coś się dzieje, coś słychać, coś sobie zaręczają — i to wszystko nie ma treści. Błąkają się cienie wielkich idej. Usunięto z nich czynnik poświęcenia, są sterylizowane i higjeniczne — jak kawa bez kofeiny. Wiara — jakieś krople kojące z domowej apteczki, zabezpieczenie na wszelki wypadek. Ojczyzna — wielka firma, pokrywająca wszelkie interesy. Słychać różne hasła, gromkie i miarodajne, tylko treści w nich niema, bo gospodarz już ziarno wyłuskał, społeczeństwu zostawił pustą słomę. Słyszymy: humanizm, pacyfizm, demokracja, postęp — i to wszystko nic nie znaczy...

Na szczęście żałosny obraz społeczeństwa pod rządami indywiduum ma także jasne punkty. Tu i ówdzie ludzie po słomianym reżimie czują się naczczo. Jałowość życia wywołuje reakcję: głód mistycyzmu. Myśl, co koło siebie wszystko już podważyła, szuka oparcia dalej.

Przychodzi chwila, że ludziom prawdy potrzeba, jak tchu. Szukają przewodnich idej, jakiejś solidnej podstawy.

Jan Koro'ec

Proces Wiktora Hugo

W jednym z ostatnich numerów francuskiego tygodnika „Je suis partout", ukazał się artykuł znanego pisarza, Georges Battault'a, autora znanej książki o sprawie żydowskiej, poświęcony Wiktorowi Hugo, a stwierdzający, że wokoło osoby tego znanego poety wytworzyła się atmosfera zupełnie niezdrowa. Wolno bowiem krytykować Vigny'ego, Lamartina, Musseta i innych współczesnych poetów, krytykowanie Wiktora Hugo jest świętokradztwem. Usiłuje się z niego zrobić największego pisarza francuskiego. Na rzeczową krytykę nie odpowiada się rzeczowo, staje się poprostu na stanowisku, że mistrz jest tabu.

Wśród wielbicieli Wiktora Hugo odróżnić trzeba dwa typy: jedni robią interes na swym kulcie, drudzy są poprostu przez pierwszych nabierani. Pierwsi powiadają: „Wiktor Hugo jest tak wielkim poetą, że cokolwiek powiedział lub zrobił, nosi cechę wielkości" i, korzystając z tej formułki, przemycają własne myśli, natury bardzo podejrzanej. Drudzy powiadają: „Wiktor Hugo jest tak wielkim pisarzem, że jeśli coś napisał lub zrobił, co nie jest wielkie, to nic ma to znaczenia i byłoby tylko czepianiem się wskazywanie tych błędów" i w ten sposób pozwalają pod sztandarem genjusza poetyckiego przemycać najbardziej podejrzane towary.

Krytyka musi przejść do porządku dziennego nad oburzonemi protestami, ironicznemi uśmieszkami, pedantycznemi uwagami. Krytyka musi odpowiedzieć sprzysiężeniu wielbicieli, że niektóre nieporównane wiersze, przepiękne poematy Hugo nie mogą usprawiedliwiać głupstw, których nabierani nie chcą zauważyć, spryciarze zaś chcą z nich wyciągnąć jaknajwięcej korzyści dla siebie. Dzieła Hugo właśnie ze względu na ich rozmaitą wartość, nie mogą uchylić się od krytyki. Ta zmowa wielbicieli istniała już za życia Hugo. Charakteryzuje ją Barbey d'Aurevilly następującemi słowami: „Niezależni zwolennicy wolnej myśli ogłosili autora „Nędzników" za nieomylnego i to tylko dlatego, że demagogja jest uszczęśliwiona znalezieniem wielkiego trębacza, trąbiącego jej pobudkę". Te słowa, wygłoszone przed 70 laty, do dziś dnia są prawdziwe. I mimo tej zmowy, najwięksi pisarze pisali o Wiktorze Hugo w sposób wybitnie krytyczny.

GOETHE

„Czytałem w ciągu ostatnich dni „Notre Dame de Paris" i musiałem się uzbroić w dużą dozę cierpliwości, by znieść te męczarnie, które odczuwałem przy tej lekturze. Jest to najwiek napisano. Pozatem męczarnie, obrzydliwsza książka, jaką kiedykolwiek które się znosi, nie są równoważone radością, jakąby sprawiło prawdziwe przedstawienie natury ludzkiej, jakiegoś charakteru ludzkiego. Przeciwnie, książka Wiktora Hugo nie ma w sobie naturalności i prawdy. T. zw. osoby, w niej występujące, nie są prawdziwymi ludźmi, lecz marjonetkami z drzewa, któremi autor dowolnie dyryguje, każąc im czynić różne ruchy i grymasy, by otrzymać zamierzony przez siebie efekt. Jaka dziwna epoka, w której książka taka nietylko jest możliwa, ale uważana jest za możliwą do czytania, a nawet za zabawną".

BALZAK

„Wiktor Hugo jest poniżej samego siebie: czyż nie spalił on w „Chacie islandzkiej" więzienia granitowego przy pomocy wiązki słomy?". „U Wiktora Hugo naturalność znajduje się tylko przypadkiem". „Było rzeczą ważną dla naszej epoki, a może i dla samego Wiktora Hugo, by poemat „Hernani" był osądzony bezstronnie i by człowiek dobrej woli zaprotestował... przeciwko fałszywemu sukcesowi, któryby nas ośmieszył, gdybyśmy go zostawili bez słowa protestu". „Ruy Blas jest ogromnem głupstwem, wierszowaną podłością. Nigdy obrzydliwość i głupota nie odtańczyły takiej wyuzdanej sarabandy".

LAMARTINE

„Nędznicy". Ta książka, stanowiąca akt oskarżenia przeciwko społeczeństwu, powinna się właściwie nazywać: „Epopeja kanalij". Ona pogarsza stan chorego, zamiast go pocieszyć i uzdrowić". „Rozpowszechniać ideał, niemożliwy do realizacji, to siać w masach ślepy gniew rozpaczy".

MÉRIMÉE

„Hugo nie ma ani jednego momentu naturalnego. Gdyby ta książka („Nędznicy") była mniej śmieszna i mniej długa, to byłaby niebezpieczna". „Jaka szkoda, że ten „chłopiec", który stwarza takie piękne obrazy, nie ma do swej dyspozycji szczypty zdrowego rozsądku i dobrego smaku, któreby go powstrzymały od mówienia podłości, niegodnych uczciwego człowieka"..

BAUDELAIRE

„Ten człowiek jest tak mało uduchowiony, że przestraszyłby nawet notarjusza. Hugo, kapłan, ma swe czoło pochylone, zanadto pochylone, aby coś dojrzeć poza swoim cieniem". „Można być w pewnej dziedzinie nawet genjalnym i być jednocześnie głupcem. Dowiódł nam tego Wiktor Hugo".

TAINE

„Wiktor Hugo — pierwsza epoka: nic określonego, to zwyczajny instrument muzyczny, następnie takt nowy i zadziwiający w służbie najrozmaitszych idej pozytywnych: chrześcijaństwo, ludzkość, legitymizm, Napoleon, Ludwik-Filip, moralność, swawola i t. p. — Druga epoka: w tej naturalnej próżni — republika, socjalizm, marzenia humanitarne zajmują całe miejsce, jednocześnie zaś instrument się psuje, a takt staje się taktem głuchego".

Starano się wmówić szerokiej opinji, że wpływowi Wiktora Hugo ulegali wszyscy najwybitniejsi pisarze francuscy XIX wieku. Tymczasem, jak to stwierdza książka Ferdynanda Gregh o Wiktorze Hugo, pisarz ten sam ulegał wpływom Lamartina, Vigny'ego, Mérimée'go Berangera, Sain Beuve'a. Pozwala to Bataultowi na wydanie o Wiktorze Hugo następującej opinji: „Jeśli w pewnym sensie można utrzymywać, że Wiktor Hugo „streścił w sobie tendencje swego wieku", to nietyle ze względu na wpływ, jaki wywierał, ale ze względu na tysiączne wpływy, jakim ulegał. Wrażenia, uczucia, myśli, nic, co należało do innych, od rzeczy wielkich do małych, nie było mu obce. Urodzony wulgaryzator, z dobrze rozwiniętem poczuciem potrzeb publiczności, brał w posiadanie wszystko, a ponieważ jego wymowa była najbardziej krzycząca, a jego głos tłumił głosy innych, to wkońcu słyszano i znano tylko jego samego".

Z dżungli reklamy filmowej

O poradnię świadomego kinomaństwa

Każda reklama to — bujda, lecz reklama filmowa to wyjątkowa bujda, to bujda z premedytacją, bujda tchnąca nieraz sadyzmem, a nieraz poprostu głupotą. Żeby zrozumieć prawdę, ukrytą w reklamie filmowej, trzeba być człowiekiem, wtajemniczonym, we wszystkie jej zawiłe arkana. Bo przecież reklama, to misterne sidła, to pułapki zastawiane na widza, który wpada w zasadzkę i daje się złapać. Otóż, ażeby nie być bezbronną ofiarą, widz musi sobie uświadomić, jaką bywa reklama, jak należy ją czytać i jak reagować. A więc przychodzę z pomocą wszystkim kinomanom i służę wskazówkami i wyjaśnieniami.

Gdy się czyta w prasie codziennej: **„najweselsze chwile swego życia spędzisz na szampańskiej komedji „Dama od Maxima", będącej synonimem doskonałości"**, to należy wiedzieć, iż ma się przed sobą reklamę nieszkodliwą, bo i komuż może zaszkodzić określenie „szampańska", kogóż mogą zgorszyć niewinne słowa **„synonim doskonałości"**.

„Idziemy na spotkanie najwspanialszej premjery, jaką znają dzieje polskiej kinematografji. Zbliża się przełomowa chwila w rozwoju rodzimej wytwórczości filmowej... sztandarowy film polski p. t. „Kocha... lubi.. szanuje..." wjeżdża na święta w rydwanie przepychu i niezwykłości na światową premjerę w kinie „Swiatowid". Jest to pierwszy polski obraz sztandarowy, w pełni zasługujący na miano arcydzieła. Wspaniała gra artystów, kapitalny temat, zdumiewająca reklama, amerykański rozmach, szalone tempo, rewelacyjna technika i przebojowa muzyka składają się na dzieło niezwykłej wartości. Każdy metr „Kocha... lubi... szanuje..." tętni radością życia, pulsuje rozedrganą gamą humoru, werwy, pikanterji. Stolica bawi się, szaleje, raduje się i śmieje wulkanicznie(!) na każdym seansie. Premjerą „Kocha... lubi... szanuje..." osiągnęło kino „Swiatowid" zenit swych sukcesów". Oto klasyczny przykład reklamy pompatycznej.

Gdy natomiast czyta o tymże filmie **„Film, który kosztował miljony"** — to widzi w tych słowach przesadę graniczącą z naiwnością, lub czemś... jeszcze gorszem. Wypisywanie o bohaterach filmu „Papryka" — że **„zdają się być wysłannikami humoru, wspaniałymi rycerzami radości, których zadaniem jest trwałe usunięcie zmarszczek i bruzd z twarzy bywalców kinowych"** — zakrawa raczej na reklamę zakładu kosmetycznego, niż filmu.

Teraz reklama dla kucharek: **„Dziś w kinie „Casino" porywający dramat miłosny pary kochanków, rzuconych przez ślepy los w wir walk i rozruchów p. t. „Bunt w Szanghaju". W roli głównej bohaterka „King Konga", urocza Fay Wray".**

A oto przykłady reklamy makabrycznej, mającej działać na widza, jak wzrok węża na ptaszki: **„Uwaga! Prosimy na chwilę stłumić przerażenie! Zahartujcie nerwy swoje! Zapowiadamy pierwszy transcedentalny film — „Śmierć odpoczywa" lub „zapierająca dech w piersiach walka Chin z Europą! Mieszanina cywilizacji i okrucieństwa! Najtajniejsze zakamarki obrządków chińskich! w filmie „Zemsta doktora Fu Manchu".**

Reklama „na wesoło": **„Można nie grać na loterji, nie słuchać radja lub nie krzepić się cukrem! Można być melancholikiem, cholerykiem, czy alkoholikiem! Można lubić lub nie: kino, teatr albo rewję, ale nie można nie zobaczyć „Csibi" i nie polubić Franciszki Gaal!".**

Reklama „na smutno": **„Papryka to uczta dla narkomanów"** (czemu nie dla wisielców!).

I oto wreszcie przykłady reklamy „erotycznej": **„Potężny dramat erotyczny ojca, córki i kochanka p. t. „Zhańbiona"—Oszołamiająca wystawa mód i modelek!", albo „Hopla" — to największe arcydzieło erotyczne ostatnich lat! „Hopla" — to szalejące zmysły! „Hopla" — to rozkaz miłości! „Hopla" to symfonja erotyczna! „Hopla" — to raj na ziemi! „Hopla" — to kobieta bez parawanu** (a jakaż to kobieta nosi na sobie parawan?). **„Hopla"— to monumentalne arcydzieło, poświęcone szalejącym zmysłom z rudowłosą uwodzicielką — kapłanką orgjastycznej miłości, Clarą Bow w roli głównej.**

Kierowany uczuciem „miłości bliźniego", rzucam hasło:

— Twórzmy kadry filmowo uświadomionych widzów kinowych! W tym też celu, poczynając od następnego artykułu, rozpoczynam wykłady Nauki Racjonalnego Chodzenia Do Kin.

Nie pomyślcie, broń Boże, że będę uczył was chodzenia do kin na gapę! Będzie to nauka uczciwego chodzenia za własne (lub pożyczone) pieniądze, chodzenia rozsądnego i racjonalnego.

Niedość tego! Noszę się nawet z zamiarem otworzenia w stolicy „PORADNI ŚWIADOMEGO KINOMAŃSTWA", ale o tem — potem.

Sandacz.

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Cichy żal do Winawera

Niedawno wynudziłem się śmiertelnie na pewnym filmie. Zmęczyła mnie nietyle fabuła, ile tło i rekwizyty tego widowiska. Reżyser obrał sobie mianowicie za tło najnowocześniejszą cywilizację wraz z jej najnowocześszemi (co tu sylab!) udoskonaleniami i wynalazkami, które jej służą za rekwizyty.

Była to jakaś fantastyczna rewja kabaretowa w obłokach. Krótko mówiąc, saksofoniści latali awionetkami i autogirami, porozumiewając się za pomocą radjofonji z girlsami, które, mając umieszczone w biustonoszach mikrofony, wtórowały saksofonistom śpiewem, nie przerywając ani na chwilę tańca na skrzydłach olbrzymich hydroplanów, obwożących je nad zatoką Rio de Janeiro. Jeśli się to którejś girlsie sprzykrzyło, to rozwijała spadochron i opadała swobodnie na taras pierwszej lepszej kawiarni, a jeśli się której zachciało tymczasem wyjść zamąż, to łączyła się radjofonicznie i telewizyjnie z oblubieńcem i pastorem, który tą samą drogą udzielał młodej parze ślubu.

Nie usnąłem wprawdzie na tem widowisku, ale zato „noga mi usnęła", jak się kiedyś w podobnej sytuacji wyraził Bruno Winawer. Wyszedłszy z spektaklu osowiały, począłem hipochondrycznie doszukiwać się przyczyn znużenia w neurastenji, która, jak wiemy, objawia się pogardą dla spraw tego świata. Ponadto uświadomiłem sobie w jaskrawem przeciwstawieniu postać człowieka, pełnego entuzjazmu dla wszystkiego, co nowoczesne, wielkiego miłośnika postępu i propagatora techniki, właśnie Brunona Winawera. Zgnębiony tem do reszty, powlokłem się do domu i postanowiłem „wydębić z siebie na siłę" choć odrobinę podziwu dla ludzkiego genjuszu.

— Trzeba wyleźć z tego warszawskiego Grajdołka!—pomyślałem.—Trzeba wyjrzeć na szerszy świat! Zobaczyć te cuda, wyfrunąć, zachłysnąć się stratosferą! Runąć głową w Kosmos! Nie siedzieć ciągle w Ziemiańskiej, gdzie się spotyka wciąż te same twarze! (hm).

Wróciwszy do domu począłem z zapałem przerzucać bibljoteczkę i natrafiłem na znaną wszystkim, a zapoznaną przeze mnie książką Bruno Winawera p. t. „Boczna Antena".

Już z pierwszych stronic powiało na mnie ożywczo, niby ozonem:

„Fizyka, gdyby ją w szkołach wykładano wesoło i porządnie, nauczyłaby nas myśleć logicznie, patrzeć uważnie, mówić rozsądnie. Wzbudziłaby szacunek dla odwiecznych i najszlachetniejszych wysiłków człowieka na tym globie, dla twórczego genjuszu ludzkiego, nawet dla słów, które dziś najchętniej układamy w puste, choć brzmiące frazesy".

Słusznie! Dalej następuje szereg nazwisk badaczy i odkrywców, którzy

„zajęli najważniejsze odcinki bojowe, nawet te tysiące dolarów, otrzymanych z fundacji Nobla, przeznaczyli na lepszy oręż i staranniejszy ekwipunek i zwartą ławą prą naprzód".

Przeczytawszy te nazwiska i uczciwszy niektóre z nich „minutą milczenia", natrafiam wreszcie na efektywne rezultaty wysiłków tych ludzi.

Sprawa dotyczy pewnego małego żuczka, który nazywa się Popillia japonica:

„Wygląda dość niepozornie i osiedlił się początkowo w New Jersey. Ale już po kilku latach zawojował całą Pensylwanję, zdobył Filadelfję, zaatakował stan Delaware, niszcząc, jak Attyla — bicz Boży, zasiewy. Nic mu się oprzeć nie mogło. Wtedy to rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się z prośbą o ratunek do owych zabawnych ludzi, z których śmiejemy się tak chętnie po teatrzykach. Panowie C. P. Clausen i J. L. King, etnomologowie amerykańscy, ruszyli na strasznego chrząszcza japońskiego, stokroć groźniejszego od niejednej armji".

Przy tych słowach owiała mnie nagła niepewność, potarłem czoło i przypomniałem sobie, że „Boczna Antena" została wydana ładnych parę lat temu. Pewnie 8 lat albo i więcej, a od tego czasu jakże się wiele rzeczy zmieniło. Ba! toć to czasy przedkryzysowe. To zmienia postać rzeczy. Zaczynam się obawiać, że panowie C. P. Clausen i I. L. King postąpili niesłusznie, tępiąc małego żuczka. Przecież w parę lat potem odbywało się w tych samych Stanach z ramienia rządu słynne niszczenie zasiewów dla ratowania cen: palenie kawy, pszenicy, żyta, więcej nawet, okręty, pełne pomarańcz i bananów, wyjeżdżały na pełne morze dla zatopienia tych produktów. Oglądaliśmy przecież u nas te sceny w dodatkach Paramountu, pamięta Pan, Panie Brunonie?

Wobec tego śmiem twierdzić, że pańscy uczeni narazili rząd Stanów na podwójne koszty: niszczenia robaczków dla ratowania zasiewów i niszczenia zasiewów dla ratowania cen (nie licząc już kosztów studjów i doświadczeń obu uczonych). A teraz czytamy dalej o wspaniałym wynalazku, jakim jest radjo:

„Jeszcze za moich lat akademickich fale elektryczne były czemś bardzo tajemniczem, ja sam w pocie uznojonego czoła robiłem pracę doktorską z tej dziedziny, — oglądaliśmy na wykładach ze czcią i bojaźnią iskierniki Hertza i blaszane zwierciadła paraboliczne..."

A dziś z samego ranka pan Wajszczuk zmusza nas przez radjo do tańca. Zatańczeni do upadłego, łykamy wraz ze śniadaniem płytę ze słowami Własta, do zupy wtóruje nam mezzo - sopranem pani Potylicka - Wiercipępska, do poobiedniej drzemki mamy jazz, do kolacji wykład o znakomitej odmianie kartofli „Uptodate", a do modlitwy wieczornej „Lożę szyderców", nie mówiąc już oczywiście o świetnych skądinąd odczytach Bruno Winawera na temat jeszcze nowszych udoskonaleń.

Czytając dalej, aż za głowę się chwytam, ile się to od czasu tej książki zmieniło:

„Rzecz jest doprawdy oszałamiająca! Kilka dni temu pisaliśmy tu o „gadającym obrazie", o fenomenalnej metodzie filmowania głosu, a już dziś w jednem z czasopism zagranicznych znajdujemy sprawozdanie z „premjery". Towarzystwo „Tonfilm" zaprosiło prasę berlińską do sali „Kapitolu". Poczem bez dłuższych wstępów i prologów ukazał się na ekranie conferencier — jakiś tamtejszy Jarosy czy Konrad Tom — ukłonił się ładnie i — począł gadać do publiczności. Już jutro, albo pojutrze będziemy sobie filmowali głos ludzki zupełnie tak samo, jak dziś filmujemy aktorów".

Ani nie jutro, ani pojutrze, ale niestety, już wczoraj nasłuchaliśmy się tych „gadających obrazów", słyszeliśmy nawet rozmowę Cezara z Kleopatrą.

Cezar: — Hallo baby?

Kleopatra: — O, yes! sure.

I polską mowę słyszeliśmy także, i wiemy już napamięć, że najlepsze pończochy są Paniewa i że ostrza Parid i Rolo idealnie golą. A co do Jarosyego czy Konrada Toma, mamy ich dziś już żywcem w cenie zwykłego kina.

„Najtwardszym orzechem do zgryzienia był jednak dla wynalazców stanowczo film kolorowy. Widywaliśmy nieraz nieudolne próbki i nieśmiałe pierwsze zdjęcia barwne na ekranach. Nie owijajmy nic w bawełnę, bądźmy szczerzy — sprawa wyglądała beznadziejnie".

Mamy już te filmy kolorowe, przywodzą one na myśl słowa wieszcza: „Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze, smutno mi Boże!"

Bierze mnie ochota samemu wypuścić się na naukowe proroctwa. Czegóż to jeszcze brak nam do szczęścia... już wiem, brak nam domów na palach żelbetonowych, które buduje już zagranicą słynny architekt Corbusier. To świetna rzecz takie domy, nie tamujące ruchu pojazdów, które mogą swobodnie przejeżdżać pod niemi. Bo nowoczesny człowiek bardzo się spieszy, dokąd się spieszy niewiadomo, dość, że jest mu pilno i nie może tedy dom stać mu na zawadzie. Weźmy przykład: spieszy się, powiedzmy, czarnym Packardem kuśnierz Apfelbaum, bo jedzie z zielonem futrem do eleganckiej pani Pate'owej, czarny Packard pędzi więc pod domami, które ustępują mu z drogi, wreszcie pani Pate'owa ma już futro i bardzo spieszy się na przejażdżkę, więc już po chwili zielony Packard pędzi pod domami Corbusiera.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

I czego jeszcze nam brak? Telewizji. A mamy już wcale niezłe wyniki, niestety, szwankuje jeszcze czystość obrazu. Oto przykład tego, „co p. Baird widzi już na odległość setek tysięcy mil".



Najlepszy, choć mętny jeszcze obraz, przesłany drogą telewizji.



A oto przeze mnie wykonana przypuszczalna podobizna, wykonana po ewentualnem oczyszczeniu telewizyjnego obrazu. No, i jak się państwu ta twarz podoba? Przypuśćmy nawet, że jest to twarz następcy Dillingera, no, czy to Pana „urządza", Panie Winawer?

Dalej czytamy jeszcze w „Bocznej Antenie" przepowiednię pokonania Atlantyku. Już zrobione, mieliśmy tu niedawno braci Adamowiczów, bardzo miłych gości, owszem, ale prawdę mówiąc, następnych „braci" już nie jesteśmy ciekawi. Na zakończenie przytoczę jeszcze jedno proroctwo Bruno Winawera:

„Niezadługo nawet biedna, wycieńczona panienka ze stacji telefonicznej będzie mogła wypocząć cokolwiek — największe miasta Berlin, Paryż wprowadzają centrale automatyczne".

Gdzieżto wypoczywają te panienki? Czy mają aby co jeść? Czy pomślał Pan aby, Brunonie, o tym tysiącu przeszło zredukowanych, biednych, wycieńczonych panienek? Czy nie boli pana serce?

Martwe znasz prawdy, nieznane dla [ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej [gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu
Miej serce i patrzaj w serce!

(A. Mickiewicz).

A na to Bruno Winawer:

„Wiem, że te fakty nie przekonają Peryklesów warszawskich. Będą siedzieli, zawinięci w togi i chitony, będą się żżymali — popijając czarną kawę — na sam dźwięk wyrazów: chemja, technika, wiedza ścisła, aparat, maszyna, motor, formuła... Wybaczmy im albowiem zazwyczaj nie wiedzą, co mówią".

Umizgi do Saary



Rys. Z. Jurkowski

Laval, Saara, Hitler

Odpowiedzi działu satyry

Pensjonarce. Zwraca się Pani do nas z wątpliwościami, jak właściwie należy pisać „Akademja". Dotychczas była Pani zdania, że pisze się tak właśnie, a tymczasem wyczytała Pani w „Satyrze", że nie, że formą właściwą jest „Akademumja". I teraz Pani nie wie, jak należy pisać. Otóż, naszem zdaniem, obie formy są niewłaściwe. Ani „Akademja", ani „Akademumja", tylko „Akadenja".

(v.).

Litościwemu. Jest pan członkiem „Tow. Ochrony Przyrody", „Tow. Opieki nad Zwierzętami" i niedawna należy pan jeszcze do „Tow. Jaroszów". Wobec powyższego zapytuje pan, czy wolno mu z czystem sumieniem zabić solitera, którego obecność w pańskim żołądku została ponad wszelką wątpliwość stwierdzona...

Odpowiadamy: Nic! Nie wypada panu zabijać stworzonka, które odniosło się do pana z pełnem zaufaniem i zamieszkało w panu, traktując jego interesy, jak swoje własne. Życie jest równie miłe tej biednej istocie, jak i panu. Sądząc z pańskich zainteresowań, jest pan człowiekiem samotnym, poszukującym ciepła przyjaźni. Zabijając solitera, zabije pan jedyną pewność i zaufanie.

Janusz Minkiewicz

Aktualja

„Szopka Polityczna", której przedstawienia odbywają się jeszcze na Karowej, dała sposobność do wywołania wielkiej wesołości nietylko wśród widzów, ale także u autorów. Śmiejemy się dotąd serdecznie z zestawień recenzyj o szopce. Humorystycznie wygląda połączenie recenzji mądrej i recenzji głupawej.

Weźmy przykład z recenzji mądrej:

„Do najlepszych motywów należą „Trzy świnki"... (K. Wierzyński, „Gazeta Polska).

A oto, co znajdujemy w krytyce jakiegoś k. b. w jakimś czerwoniaku:

„...autorzy... w numerze nazwanym w programie „Trzema Świnkami" rozminęli się niestety, zarówno z dowcipem, jak z elementarną przyzwoitością".

W robotniku pisze m. in. J. N. Miller:

„Wcale oryginalnym pomysłem.... „Trzy Świnki".

Zaraz w innym czerwoniaku czytamy w recenzji p. Br.:

„Przykry zgrzyt piasku (!) rozlega się w numerze „Trzech świnek" ..Tekst jest mechaniczną składanką tanich terminów... (sic!) ...Tak robią „świnki dwie".

Brrr... panie Br! Pańska megalomańska i pretensjonalna recenzyjka grzeszy absolutnym brakiem dowcipu. Przecież mógł pan zabawnie strawestować tekst szopki i napisać o Światku Karpińskim i o mnie, że

Były sobie świnki dwie,
Co pisały szopkę źle!

Ale nie stać pana na dowcip. Męczy się pan nad stylem kwiecistym i tak powstają u pana niezdarności w rodzaju takiego zdania:

„Dlatego też złoto humoru w szarży Karpińskiego i Minkiewicza błyska wtedy, kiedy ich zręczność rymotwórcza natyka się na szczególnie piekący dla nich moment aktualności. W innych wypadkach, kiedy igraszki werbalne pozostają tylko igraszką, grzechotką aliteracji i rymów, brzękliwym karambolem kalamburów — sypie się jałowy piasek."

Br... ucz się pan lepiej pisać przejrzyściej, a przedewszystkiem inteligentniej!

Teraz o wykonawcy kukiełek, panu Zarubie, K. Wierzyński pisze:

„Kukiełki wykonał Jerzy Zaruba, ale niezbyt widocznie się do nich przykładał — tak mało było w nich podobieństwa do osób sportretowanych".

Zato p. J. N. Miller stwierdza:

„Lalki Jerzego Zaruby naogół bardzo pomysłowe i wyraziste",

A dalej:

„Recytatorzy i śpiewacy tekstów, Andrzej Bogucki i Tadeusz Frenkiel przyczyniają się walnie do powodzenia szopki".

Wróg polityczny i niewątpliwie prywatny p. Jana Nepomucena, zacny mój pryncypał, stwierdza w dwa tygodnie potem:

„Wykonawcy tekstów i piosenek, Andrzej Bogucki i Tadeusz Frenkiel trochę od niechcenia traktują swe czynności!"

Ale nietylko z aktorów p. Piasecki jest niezadowolony. Narzeka także, że w pewnym momencie:

„...wyobraźnia zawiodła autorów".

Nie wiem, jak Karpiński, ale ja osobiście zgadzam się z tą uwagą. Ale kto temu zawinił, panie redaktorze, że zawiodła mnie wyobraźnia? Tylko pan, panie pryncypale! Wymaga pan ode mnie co tydzień obfitego materjału do niedzielnego „ABC", ja męczę się przez siedem dni, wypompowuję, a potem pan jeszcze na mnie wymyśla! Fe! Niełądnie!

Za karę musi pan mi pozwolić, żebym zwrócił się do tych nielicznych czytelników, którzy nie byli jeszcze na szopce, aby sprawdzili osobiście, który z szanownych recezentów ma właściwie rację, i przyszli na Karową 18 o godz. 7.30, lub o 9.45 i to w najbliższych dniach, bo szopka ma zarezerwowane terminy na prowincji i nie może długo czekać!

Entliczek-pentliczek

Zdaje się, że wszyscy członkowie Akademji Literatury ukradkiem, w tajemnicy przeprowadzili wspólnie podczas długich feryj kurację... Woronowa. Zeszłoroczni staruszkowie wykazują obecnie na każdym kroku, już nie zwykłą, beztroską młodzieńczość, ale zupełne zdziecinnienie.

Jaskrawym tego dowodem jest chociażby ostatnie posiedzenie tej dziwnej instytucji. Nasi milusińscy akademicy wydali potem oficjalny komunikat, w którym można było przeczytać między innemi taki punkt obrad:

„...przeprowadzono dyskusję i dokonano próbnego głosowania nad pierwszymi kandydatami do odznaczenia „Wawrzynem Akademickim".

„Dokonano próbnego głosowania". Pewnie dla zabawy. Tak „na niby". Pomysł rzuciło zapewne „enfant terrible" Akademji — Kaden. Śmiechu i hałasu było conieмiara. Dowcipom nie było końca. Przecież to i tak nie ważne, to tylko próba! Miriam krztusząc się od chichotu rzucił kandydaturę prof. Piniego. Irzykowski wołał nieśmiało: — Ja chcę Słonimskiego! A malutki profesorek Kleiner stał w środku i wybierał swego kandydata metodą: — Entliczek — pentliczek, czerwony staniczek, na kogo wypadnie...?

Tiak nie możnia, moje dliogie dzieci. Tsieba tloseckę śpoważnieć! Psiestać się ciąglie bawić, wziąć się laz dio powaźnej placy! Zicie siamo was jeście tiego nauci! A wśtyd! A niełądnie! Julek, śtiań w kącie! Karolek, klęknij pod ścianą! Tadziu, psiepiś ćtiernaście razy: Entliczek — pentliczek". Wicuś, uspokój się!

Bo wychodzi z tego prawdziwy mętliczek.

j. m.

Taiemnice polszyne'a

Znana jest w całych Niemczech manja Goeringa przebierania się w coraz to nowe i oryginalniejsze mundury. Na ten temat doszła do nas z Berlina autentyczna podobno historja.

Goering, ubrany w codzienny mundur generała, pracuje w swych apartamentach. Nagle przybiega jego adjutant i przerywa mu pracę, mówiąc, że w domu pękła rura wodociągowa i woda zalewa piwnice.

— Nie widzisz, że pracuję? — mówi zimno Goering. — Daj mi spokój. Wynoś się!

W godzinę później, ten sam adjutant, przerażony, znowu przybiega krzycząc, że woda w piwnicy osiągnęła już wysokość jednego metra.

— Nie zawracaj mi tem głowy! — mówi zapracowany Goering.

Znowu mija godzina. Doprowadzony do ostateczności adjutant wbiega i zrozpaczonym głosem zawiadamia Goeringa, że w piwnicy poruszać się już można tylko za pomocą motorówki.

— Motorówką? — woła radośnie Goering i cała jego twarz rozpływa się w uśmiechu.

Naciska dzwonek na lokaja i wydaje mu polecenie:

— Prędko, mój mundur admirała!!!